Nie szukaj wyjścia w moich oczach

Żeby zostać, trzeba czasem przestać uciekać od rozmowy



Laura Bellini

Nie szukaj wyjścia w moich oczach

Żeby zostać, trzeba czasem przestać uciekać od rozmowy

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384903650

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Granice kadru 13
Rozdział 2 - Miejsce na drugą osobę 24
Rozdział 3 - Światło, którego nie da się zatrzymać 36
Rozdział 4 - Rozmowy po zamknięciu drzwi 47
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 58
Rozdział 6 - Odległość jednego kroku 68
Rozdział 7 - To, czego nie powiedzieliśmy 77
Rozdział 8 - Między bliskością a zaufaniem 87
Rozdział 9 - Cena wspólnego kadru 96
Rozdział 10 - Bez miejsca na ucieczkę 105
Rozdział 11 - Zasady, których nie zapisaliśmy 115
Rozdział 12 - Bilet w jedną stronę 124
Rozdział 13 - Granice kompromisu 133
Rozdział 14 - Prawda między słowami 143
Rozdział 15 - Wszystkie drogi, którymi odchodziłeś 153
Rozdział 16 - Odległość, której potrzebuję 163
Rozdział 17 - To, czego nie muszę ratować 173
Rozdział 18 - Zostań, kiedy będzie trudno 183
Rozdział 19 - Światło, które zostaje 193
Rozdział 20 - Miejsce dla dwojga 204

INTRO

Pierwszego ranka w Brnie obudziłam się pięć minut przed budzikiem i przez kilka sekund patrzyłam w sufit hotelowego pokoju, próbując przypomnieć sobie, gdzie jestem. Potem zobaczyłam na krześle rulon wydruków, teczkę z próbkami materiałów i mój płaszcz przewieszony w sposób, którego nigdy nie zaakceptowałabym we własnym mieszkaniu. Wszystko wróciło na miejsce. Brno. Hotel Zora. Trzy tygodnie przygotowań zamknięte w dwudziestu czterech godzinach zdjęć. Jedna szansa, żeby przekonać właścicieli budynku, że modernistycznego wnętrza nie trzeba ratować przed jego przeszłością, tylko pozwolić mu znowu oddychać.

Miałam plan.

Plan był zawsze dobrym początkiem.

O siódmej czterdzieści stałam już na drugim piętrze, między mlecznymi szybami i matowoniebieską ścianą korytarza. Hotel był zamknięty dla gości na czas remontu, więc cisza miała tu własny ciężar. Słyszałam skrzypienie moich butów na terrazzo i odległe uderzenia młotka gdzieś w skrzydle technicznym. Naturalne światło wpadało przez wąskie okna na końcu korytarza dokładnie tak, jak przewidziałam. Miękkie, chłodne, wystarczające, żeby podkreślić geometrię miejsca bez robienia z niego muzeum.

Przesunęłam niewielki fotel o może pięć centymetrów.

— Teraz — powiedziałam do siebie.

— Nie teraz.

Głos dobiegł zza moich pleców.

Odwróciłam się wolno.

Mężczyzna stojący kilka metrów dalej miał aparat przewieszony przez ramię i czarną torbę opartą o nogę. Wysoki, ciemna kurtka, włosy nieco za długie jak na kogoś, kto najwyraźniej nie czuł potrzeby przepraszania za własną obecność. Mógł mieć około czterdziestki. Patrzył najpierw na fotel, potem na światło, a dopiero na końcu na mnie.

To ostatnie trwało odrobinę zbyt długo.

— Słucham? — zapytałam.

— Jeśli zostawisz go tam, odetniesz linię prowadzącą od balustrady do okna.

— Jeśli zostawię go tam, ktoś wreszcie zobaczy, że to jest hotel, a nie pusty obiekt do katalogu architektury.

Kącik jego ust drgnął.

— Petra Witek?

Nie lubiłam sytuacji, w których obca osoba znała moje nazwisko, zanim sama zdążyłam ustalić, kim jest.

— Zależy, kto pyta.

Podszedł bliżej, ale zatrzymał się w rozsądnej odległości. Wyciągnął rękę.

— Albert Pawlik.

Nie podałam mu dłoni od razu.

Nazwisko znałam. Zbyt dobrze.

Albert Pawlik fotografował kilka hoteli, o których później mówiło się, że wyglądały na jego zdjęciach lepiej niż w rzeczywistości. Dla architekta wnętrz był to komplement niebezpiecznego rodzaju. Znałam też jego cykl o opuszczonych pensjonatach nad Adriatykiem i serię fotografii dworców, na których ludzie byli jedynie rozmytymi

śladami. Potrafił zrobić z miejsca opowieść. Problem polegał na tym, że zwykle była to jego opowieść.

Podałam mu rękę.

— Miałeś być o dziesiątej.

— Miałem być o dziewiątej.

— Harmonogram, który dostałam, mówi dziesiąta.

— Mój mówi dziewiąta.

Puścił moją dłoń, ale przez krótką chwilę zostało mi w palcach ciepło jego skóry. Zirytowało mnie to bardziej niż pomyłka w harmonogramie.

Wyjęłam telefon.

— Sprawdzę.

— Możesz też przyjąć, że oboje mamy rację.

Spojrzałam na niego znad ekranu.

— To brzmi jak rozwiązanie osoby, która nie chce ustalić, gdzie jest błąd.

— Albo osoby, która nie chce tracić światła na dochodzenie.

Wskazał brodą okno na końcu korytarza. Słońce przesunęło się już na tyle, że cień framugi zaczął przecinać błękitną ścianę.

Miał rację.

Nie powiedziałam tego.

— Zanim zaczniesz, muszę ustawić trzy kadry — oznajmiłam. — Meble, lampy i oznaczenia drzwi. Chcę pokazać funkcję przestrzeni.

— Ja chcę pokazać jej rytm.

— Rytm nie płaci rachunku za hotel.

— Funkcja też nie sprawia, że ktoś chce tu wejść.

To powinno mnie zdenerwować bardziej. Zamiast tego poczułam tę rzadką, niezbyt rozsądną ciekawość, która pojawiała się, kiedy ktoś nie zgadzał się ze mną w sposób przemyślany, a nie dla samej przyjemności stawiania oporu.

Albert zdjął aparat z ramienia.

— Pięć minut — powiedział. — Niczego nie przesuwaj.

— To moja aranżacja.

— A to moje zdjęcie.

— Zdjęcie mojego projektu.

— Budynku, którego żadne z nas nie zaprojektowało.

Przez moment tylko na siebie patrzyliśmy.

Miał spokojne oczy. Nie chłodne. To było gorsze. Człowiek, który się złościł, zostawiał ci punkt zaczepienia. Albert wyglądał, jakby potrafił stać po drugiej stronie konfliktu bez najmniejszej potrzeby podnoszenia głosu.

— Pięć minut — powtórzył.

— Trzy.

— Cztery.

— Nie negocjuję własnego harmonogramu z fotografem, który pojawia się godzinę wcześniej.

— W takim razie trzy.

Ustąpił tak łatwo, że przez sekundę nie wiedziałam, czy wygrałam.

Odsunęłam się pod ścianę.

Albert zaczął pracować.

Nie robił dziesiątek zdjęć. Najpierw patrzył. Przesuwał się o pół kroku, sprawdzał wysokość, obserwował odbicie

światła na poręczy. Raz przykucnął, innym razem cofnął się tak daleko, że prawie wszedł do pustego pokoju. Nie dotknął żadnego z elementów, które ustawiłam.

Po dwóch minutach podszedł do fotela.

— Mogę?

To jedno słowo zatrzymało mnie bardziej niż wcześniejsza pewność siebie.

— Co?

— Przesunąć go.

Wskazał dokładnie miejsce, o które spieraliśmy się przed chwilą.

— Pytałeś mnie właśnie o zgodę?

— Zdarza mi się.

— Rzadko?

Uśmiechnął się.

Tym razem naprawdę.

— Zależy od człowieka.

Podeszłam do fotela.

— Pokaż gdzie.

Nie zrobił tego za mnie. Stanął obok i dłonią wskazał linię na posadzce.

— Tutaj. Obrót o jakieś piętnaście stopni.

Przesunęłam mebel sama.

— Tak?

Albert spojrzał przez wizjer aparatu, potem znów na mnie.

— Jeszcze trochę w lewo.

— Powiedziałeś piętnaście.

— Zmieniłem zdanie.

— To źle rokuje.

— Dla zdjęcia?

— Dla współpracy.

Przez kilka sekund nic nie odpowiedział.

Wreszcie opuścił aparat.

— Nie planowałem współpracy.

To zdanie zabrzmiało dziwnie w pustym korytarzu.

— Ja też nie — powiedziałam.

Mieliśmy przygotować materiał do wspólnej wystawy o miejscach przejściowych, ale w mojej głowie oznaczało to prosty układ: ja odpowiadam za przestrzeń, on za fotografię, kuratorka później składa to w całość. Bez mieszania kompetencji. Bez niepotrzebnych negocjacji. Bez sytuacji, w której musiałabym uzależniać własny efekt od człowieka znanego z tego, że potrafił przyjąć zlecenie w Berlinie, skończyć je w Porto i tydzień później pracować już w Tallinnie.

Albert podniósł aparat ponownie.

— Stań tam.

— Słucham?

— Przy oknie.

— Nie jestem elementem scenografii.

— Wiem.

— Więc po co?

— Chcę zobaczyć skalę.

— Znajdź sobie statyw.

Zaśmiał się cicho.

— Statyw nie patrzy na mnie tak, jakby właśnie układał listę powodów, dla których powinienem zniknąć z twojego projektu.

— To nie mój projekt.

— Jeszcze gorzej. Czyli robisz to bez prawa własności.

— Robię to, bo mi zależy.

Opuścił aparat.

Uśmiech zniknął mu z twarzy, ale nie odwrócił wzroku.

— Wiem — powiedział.

Tylko tyle.

A jednak nagle miałam wrażenie, że powiedział coś więcej. Jakby zauważył nie fotel, nie błękit ściany, nie harmonogram w moim telefonie, tylko mnie stojącą pośrodku tego wszystkiego i próbującą dopilnować każdej zmiennej, zanim któraś zdąży mnie zaskoczyć.

To uczucie było niewygodne.

I niebezpiecznie przyjemne.

Odwróciłam się do okna, niby po to, żeby sprawdzić światło.

— Masz swoje trzy minuty — powiedziałam.

— Już minęły.

Spojrzałam na zegarek.

Miał rację.

— W takim razie koniec.

Albert schował aparat do torby bez protestu.

— Dobrze.

— Dobrze?

— Powiedziałaś koniec.

Znowu zrobił coś, czego się po nim nie spodziewałam. Nie próbował wynegocjować kolejnej minuty, nie wykorzystał uroku, nie udawał, że mnie nie usłyszał. Po prostu przyjął granicę.

To powinnam była zapamiętać.

Zamiast tego patrzyłam, jak zapina torbę.

— Co teraz? — zapytał.

Otworzyłam teczkę z planem dnia.

— Teraz robimy to po mojemu.

Podniósł wzrok.

— A potem?

— Potem możemy sprawdzić twój sposób.

— Brzmi prawie jak kompromis.

— Nie przyzwyczajaj się.

Ruszyłam korytarzem. Po kilku krokach usłyszałam jego kroki za sobą, spokojne, niespieszne. Kiedy zatrzymałam się przy drzwiach do dawnego baru, Albert stanął obok mnie.

Nie za blisko.

Wystarczająco.

— Petra?

— Tak?

— Jeśli będziemy się kłócić przez najbliższe tygodnie, uprzedź mnie o jednej rzeczy.

Spojrzałam na niego.

— O jakiej?

Przez chwilę przyglądał mi się bez uśmiechu.

— Kiedy będziesz chciała, żebym naprawdę został przy rozmowie.

I właśnie wtedy, zamiast odpowiedzieć, pomyślałam po raz pierwszy, że może najtrudniejsze w Albercie Pawliku nie będzie to, że pewnego dnia zechce odejść.

Tylko to, czy ja sama będę umiała przestać przygotowywać mu wygodne wyjście.

Rozdział 1 - Granice kadru

Dawny hotelowy bar pachniał świeżo szlifowanym drewnem, kurzem i kawą, którą ktoś pozostawił na parapecie. Wysokie okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec, gdzie robotnicy rozładowywali materiały pod osłoną brezentowego daszku. W środku zachowały się oryginalne mosiężne listwy przy kontuarze, dwa rzędy kulistych lamp i ściana wyłożona jasnym fornirem. Właśnie tę ścianę zamierzałam wykorzystać jako tło jednej z najważniejszych fotografii wystawy. Albert stanął w drzwiach, rozejrzał się i zamiast skomentować wnętrze, spojrzał na mnie.

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Położyłam teczkę na kontuarze.

— Na które?

— Kiedy mam zostać przy rozmowie.

— Kiedy będzie dotyczyła pracy.

— To bezpieczna odpowiedź.

— Zawodowa.

— Nie zawsze oznacza to samo.

Wyjęłam plan ekspozycji, zanim zdążyłabym powiedzieć coś mniej rozsądnego. Pracowałam nad tym projektem od sześciu tygodni. Wystawa zatytułowana roboczo „Pomiędzy" miała pokazać miejsca, w których ludzie zatrzymują się tylko na chwilę: hotelowe korytarze, poczekalnie, klatki schodowe, dworcowe hale. Nie interesowała mnie nostalgia za opuszczonymi budynkami. Chciałam pokazać, że przestrzeń przejściowa również może

dawać poczucie przynależności. Hotel Zora miał być sercem całej opowieści, bo przechodził właśnie przemianę, nie tracąc własnego charakteru.

Albert pochylił się nad rysunkami.

— Wszystko jest bardzo dokładne.

— Dziękuję.

— To nie był jeszcze komplement.

Podniosłam wzrok.

— Zauważyłam.

Przesunął palcem nad jednym z zaznaczonych kadrów, nie dotykając papieru.

— Dlaczego na wszystkich zdjęciach korytarz jest pusty?

— Bo pokazujemy architekturę.

— A wystawa opowiada o ludziach, którzy przez nią przechodzą.

— O relacji człowieka z przestrzenią. Nie potrzebujemy statystów udających emocje.

— Zgoda. Ale brak człowieka też jest decyzją. I tutaj podejmujesz ją za widza.

Przyjrzałam się fotografii referencyjnej. Pusty korytarz, błękitna ściana, światło zatrzymane na posadzce. Byłam zadowolona z tej kompozycji. Znałam każdy jej element i wiedziałam, dlaczego się tam znalazł.

— A ty chciałbyś wprowadzić przypadkową osobę i nazwać to autentycznością?

— Chciałbym zostawić miejsce na coś, czego nie zaplanowaliśmy.

— W budżecie wystawy nie ma pozycji „coś, czego nie zaplanowaliśmy”.

Albert zaśmiał się krótko, ale zaraz spoważniał.

— Petra, nie przyjechałem tutaj fotografować twoich wizualizacji.

Poczułam, jak zaciskam palce na brzegu teczki.

— A ja nie zaprosiłam cię do zmieniania projektu, za który odpowiadam.

— Właśnie dlatego musimy ustalić warunki.

Zanim odpowiedziałam, do baru weszła Klára Novotná, kuratorka wystawy i przedstawicielka fundacji finansującej przedsięwzięcie. Miała krótkie siwe włosy, czerwone oprawki okularów i energię kobiety, która od dawna nie wierzyła w szczęśliwe przypadki. Niosła trzy papierowe kubki z kawą.

— Widzę, że się poznaliście.

— Zdążyliśmy już ustalić, że mamy odmienne koncepcje — powiedziałam.

— Doskonale. Obawiałam się, że będziecie zbyt uprzejmi.

Klára podała nam kawę, a potem rozłożyła na kontuarze wydruk umowy. Wskazała fragment zaznaczony żółtym kolorem.

— Wczoraj wieczorem zarząd fundacji zatwierdził zmianę sposobu prezentacji. Chcemy jednej wspólnej narracji, nie dwóch osobnych części. Petra odpowiada za przestrzeń i koncepcję wystawy. Albert za fotografie. Ostateczny wybór materiałów musi być wspólny.

Przeczytałam zapis dwukrotnie.

— Nie było tego w mojej wersji umowy.

— Wysłaliśmy aneks rano.

— O szóstej piętnaście — zauważyłam, sprawdzając telefon. — Trudno uznać to za uzgodnienie.

Klára nie próbowała się bronić.

— Masz rację. Powinnam była zadzwonić wczoraj. Zarząd podjął decyzję późno, ale to nie usprawiedliwia sposobu przekazania informacji. Możesz odmówić podpisania aneksu. Muszę jednak uczciwie powiedzieć, że bez wspólnej koncepcji fundacja ograniczy finansowanie ekspozycji.

To nie była groźba. Właśnie dlatego zabrzmiało gorzej.

Przez chwilę patrzyłam na dokument. Moje studio było niewielkie. Zatrudniałam dwie osoby, a projekt w Brnie miał otworzyć nam drogę do większych realizacji poza Polską. Nie potrzebowałam protekcji ani wyjątkowego traktowania. Potrzebowałam możliwości pokazania, co potrafimy.

— Ile mamy czasu na decyzję? — zapytałam.

— Do jutra, do południa.

Albert odstawił kawę.

— A ja mam warunek.

Odwróciłam głowę.

— Oczywiście.

— Chcę mieć prawo pokazać miejsca również przed końcową aranżacją. Ślady użytkowania, niedoskonałości, fragmenty remontu. Nie wszystko musi wyglądać jak gotowy produkt.

— Hotel przygotowuje się do otwarcia. Właściciele nie zgodzą się na wystawę sugerującą, że budynek jest zaniedbany.

— W takim razie pokażemy, że jest w trakcie zmiany.

— Nie możesz samodzielnie decydować o takim przekazie.

— Nie zamierzam. Dlatego rozmawiam z tobą.

Klára obserwowała nas z zainteresowaniem, którego nie podzielałam.

— Macie czas do jutra. Dzisiaj chciałabym zobaczyć próbne kadry. Bez ostatecznych deklaracji.

Zostawiła nas samych.

Przez chwilę słychać było jedynie szum wentylacji.

— Wiedziałeś o aneksie? — zapytałam.

— Dostałem go rano.

— I nie uznałeś za stosowne wspomnieć?

— Chciałem najpierw zobaczyć twoją koncepcję.

— To nie była odpowiedź.

Albert przyjął moje spojrzenie bez uśmiechu.

— Wiedziałem, że zmiana ci się nie spodoba. Nie wiedziałem, że nie została z tobą omówiona. Powinienem był zapytać.

Jego przyznanie się do błędu odebrało mi przygotowaną ripostę.

— Tak — powiedziałam. — Powinieneś.

— Masz prawo być zła.

— Nie potrzebuję pozwolenia.

— Wiem.

Odsunęłam od siebie dokument. Nie zamierzałam podejmować decyzji pod wpływem irytacji. Miałam trzydzieści pięć lat, własną firmę i wystarczająco dużo

doświadczenia, żeby rozróżniać ambicję od dumy. Przynajmniej zazwyczaj.

— Pokaż mi, co masz na myśli — powiedziałam.

Albert podniósł aparat.

— Tutaj?

— Tutaj.

Poprowadził mnie do bocznego wejścia baru, gdzie za szklanymi drzwiami znajdował się wąski korytarz techniczny. Na ścianie zachowały się ciemniejsze prostokąty po zdjętych tabliczkach. Pod sufitem biegły nowe przewody, a obok nich wisiała stara lampa, jeszcze niepodłączona.

— To jest miejsce, którego nie chciałaś fotografować — powiedział.

— Bo nie jest skończone.

— Właśnie.

Zrobił jedno zdjęcie, potem pokazał mi ekran aparatu.

Nie było w nim nic spektakularnego. Światło padało na pusty fragment ściany, a cień przewodu tworzył cienką linię prowadzącą do drzwi. Obraz miał w sobie coś z niedokończonego zdania.

— To opowiada o oczekiwaniu — powiedziałam, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Albert spojrzał na mnie.

— Dokładnie.

— Ale bez kontekstu wygląda jak dokumentacja remontu.

— Więc dajmy mu kontekst.

Przyjrzałam się fotografii ponownie. Wiedziałam, jak można ją wykorzystać. Nie jako centralny obraz, lecz jako

część sekwencji pokazującej drogę od przestrzeni niegotowej do zamieszkanej. Miałam nawet pomysł na zestawienie z detalem odnowionego baru.

— Nie wystarczy jedno zdjęcie — powiedziałam. — Potrzebujemy par. Tego samego miejsca przed zmianą i po niej.

— Nie wszystkie miejsca powinny mieć takie zakończenie.

— Dlaczego?

— Bo czasem najważniejsze jest to, co dzieje się pomiędzy.

Wypowiedział to spokojnie. Mimo to odniosłam wrażenie, że nie mówi wyłącznie o architekturze.

Wróciliśmy do baru. Rozłożyłam plan na kontuarze i zaznaczyłam trzy miejsca, w których jego sposób patrzenia mógłby uzupełnić mój. Albert nie próbował przejąć ołówka. Zadawał pytania, czasem niewygodne, ale konkretne. Kiedy zaproponowałam wykorzystanie odbicia w szybie, od razu zrozumiał, że nie chodzi mi o efekt wizualny, tylko o pokazanie dwóch stanów przestrzeni jednocześnie.

Pracowaliśmy tak przez prawie godzinę.

Najbardziej zaskakiwało mnie nie to, że się różniliśmy, lecz że potrafiliśmy rozwinąć cudzą myśl bez natychmiastowego zawłaszczania jej. Albert był cierpliwy wobec obrazu i niecierpliwy wobec procedur. Ja odwrotnie. Kiedy wskazywał detal, którego wcześniej nie zauważyłam, czułam jednocześnie wdzięczność i irytację. Kiedy ja tłumaczyłam mu ograniczenia konserwatorskie, słuchał z uwagą, która sprawiała, że chciałam mówić dłużej.

W pewnym momencie nasze ramiona znalazły się blisko siebie nad rozłożonym planem. Poczułam zapach jego kurtki, chłodnego powietrza i czegoś drzewnego, ledwie uchwytnego. Nie odsunął się gwałtownie ani nie wykorzystał tej odległości. Po prostu wskazał kolejne miejsce na rysunku.

— Tutaj potrzebuję godziny bez ekipy remontowej.

— Mogę to zorganizować.

— A tutaj chcę fotografować o świcie.

— Hotel otwierają dla nas o siódmej.

— Świt będzie wcześniej.

— Zatem musimy uzyskać zgodę ochrony.

Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

— Ty naprawdę potrafisz zamienić wschód słońca w procedurę.

— Dzięki procedurom nikt nie zostaje zamknięty na noc w cudzym hotelu.

— Brzmi jak historia.

— Brzmi jak doświadczenie zawodowe.

Uśmiechnął się, ale nie naciskał.

Po południu obejrzeliśmy próbne fotografie na dużym monitorze w prowizorycznym biurze. Klára wróciła z przedstawicielem hotelu, panem Dvořákiem, który przez większość prezentacji milczał. Kiedy Albert pokazał zdjęcie korytarza technicznego, mężczyzna zmarszczył brwi.

— Nie chcemy pokazywać niedokończonych prac.

Przygotowałam się do wyjaśnienia, ale Albert odezwał się pierwszy.

— Rozumiem. To propozycja do dyskusji, nie gotowy wybór.

Spojrzał na mnie.

Oddał mi głos.

— Chcemy zestawić ten obraz z fotografią tego samego miejsca po zakończeniu prac — powiedziałam. — Nie jako dowód niedoskonałości, tylko jako zapis przemiany. Możemy też wykluczyć elementy techniczne, których właściciel nie chce publikować.

Dvořák zastanawiał się chwilę.

— Jeśli zobaczę całą parę zdjęć przed zatwierdzeniem, możemy spróbować.

Klára skinęła głową.

— To pierwszy wspólny kierunek.

Nie powiedziałam, że właśnie go znaleźliśmy. Jeszcze nie ufałam tej współpracy na tyle, żeby nazywać ją sukcesem.

Kiedy zostaliśmy sami przy monitorze, Albert odsunął krzesło.

— Dobrze to rozegrałaś.

— Ty też.

— Brzmi, jakby bolało.

— Trochę.

Zaśmiał się. Tym razem nie próbowałam ukryć uśmiechu.

Później, kiedy ekipa kończyła pracę, wróciłam na drugie piętro po pozostawioną teczkę. Albert stał przy oknie na końcu korytarza i sprawdzał zdjęcia. Zatrzymałam się kilka kroków od niego.

— Masz jutro czas o ósmej? — zapytałam.

— Zależy, po co.

— Chcę pokazać ci miejsce, którego nie ma w planie wystawy.

Podniósł głowę.

— A jednak.

— Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

— Nie śmiałbym.

Schował aparat i podszedł bliżej. W świetle późnego popołudnia dostrzegłam drobne zmarszczki przy jego oczach i ślad zmęczenia, którego wcześniej nie zauważyłam.

— Petra, jest jeszcze jedna rzecz.

Czekałam.

— Nie chcę podpisywać aneksu, który daje nam wspólną odpowiedzialność, jeśli w praktyce będziemy walczyć o każdy obraz.

— Ja też nie.

— Więc ustalmy zasadę. Kiedy jedno z nas nie zgadza się na decyzję, drugie nie próbuje jej przepchnąć przez Klárę.

— Zgoda. I żadnych zmian za plecami drugiej osoby.

Przez moment jego twarz stała się poważniejsza.

— Zgoda.

Wyciągnęłam rękę. Ujął ją, a jego dłoń była ciepła i pewna.

— To nie oznacza, że zawsze będę ustępować — powiedziałam.

— Mam nadzieję, że nie.

Puścił mnie powoli, bez przeciągania gestu.